

W S P O M N I E N I A

O śp. księdzu prałacie Eugeniuszu Piechu
który życie swe poświęcił Bogu, ludziom i Ojczyźnie
oraz cierpiał za niezdradzenie tajemnicy

Opracował:

Stanisław Woisko

Minęło 60 lat od czasu kiedy diakon Eugeniusz Piech, leżąc krzyżem w katedrze tarnowskiej, prosił Boga o przyjęcie go w poczet kapłaństwa Chrystusowego.

Jego gorąca prośba została wysłuchana i w dniu 9 sierpnia 1942 r. z rąk biskupa Edwarda Komara otrzymał święcenia kapłańskie. Został wreszcie kapłanem. Ziściło się jego największe marzenie. Radość przeniknęła jego serce. Jednakże radość, jaka w nim zapanała szybko została przygaszona z chwila otrzymania depechy. Treść jej nie była treścią oczekiwaną. Rodzina przysłała telegram, lecz nie z gratulacjami i życzeniami, a przynosiła smutną wiadomość - oto matka zmarła. Jego matka, która tak kochała. Matka, która z wielkim zaparciem i wieloma wyrzeczeniami robiła wszystko, by jej Gienio został księdzem. Kiedy zaś został, ona nagle odeszła.

Marzyli kiedyś - ona - jaka to będzie radość, kiedy jej ukochany synek, Gieniusz, już jako ksiądz, udzieli jej prymicyjnego błogosławieństwa. On również z wielkim utęsknieniem czekał, by wraz z błogosławieństwem kapłańskim, podziękować jej za wszelkie trudy, kłopoty i zmartwień, jakich doznała aby ziściły się jego zamiary, by został księdzem.

Kapłanem, dzięki Panu Bogu, został. Jego największe marzenie spełniło się, lecz radość ze spełnienia nie była pełna. Ta najdroższa osoba, jaka dla niego istniała - matka - nie pobłogosławiła już księdza Eugeniusza, kiedy wychodził z domu, by odprowadzić mszę prymicyjną. Uczyła to matka jego matki - babcia Maria Żaczek. Smutne były te prymicje. Smutne i skromne, "gdyż" "był to już 3 rok wojny, a Niemców wszędzie pełno" - jak napisała siostra księdza Piecha, pani Ludwika Piotrowska z Łonicy Młowanej.

Tak więc ksiądz Eugeniusz Piech rozpoczął swe życie i pracę kapłańską - w służbie Boga, Ojczyźnie i bliźnim. Zaś po 45 latach mogliśmy przeczytać w Tygodniku Powszechnym (Nr 8/87 z 22 lutego 1987 r.) nekrolog: "Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 28.I.1987 r. zmarł w wieku 67 lat, w 45 roku kapłaństwa śp. Ksiądz Prałat Eugeniusz Piech długoletni proboszcz parafii św. Józefa w Muszynie, w czasie okupacji wykładowca Tajnego Nauczania i kapelan I Zgrupowania Obwodu Dębickiego AK w akcji "Burza", niezmordowany duszpasterz i wychowawca, całym sercem oddany sprawom Kościoła i Ojczyzny.

Uroczystości pogrzebowe z udziałem J. R. ks. bpa Józefa Guzwy odbyły się w dniu 31.I.br. na cmentarzu parafialnym w Muszynie. - Rodzina i przyjaciele."

Życie człowieka o nazwisku Eugeniusz Piech trwało 67 lat i kilka miesięcy, zaś życie i praca kapłana nie całe 45. Zdawać by się mogło, że żył i umarł - koniec. Okazuje się, że jednakże nie, gdyż w rok później zwiedzając Muszynę, wstępując przy okazji do kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Józefa, przy wejściu rzuca nam się w oczy duża tablica z brazu. Jest to tablica epitafijna, poświęcona pamięci tamtejszego proboszcza, śp. ks. prałata Eugeniusza Piecha.

W górnej części tablicy, po jej lewej stronie widnieje popiersie księdza Eugeniusza, zaś w stylizowanym polu epitafium napis: Sp. Ks. Prałat Eugeniusz Piech 1919 - 1987. Urodzony w Lipnicy Murowanej. W latach 1956 - 1987 Proboszcz Parafii św. Józefa w Muszynie. Założyciel Parafii i Budowniczy Kościoła Bł. Marii Teresy Ledóchowskiej w Muszynie-Folwarku. Kapłan według Serca Bożego Gorliwy Duszpasterz a w latach okupacji ofiarny Kapelan Armii Krajowej. W I Rocznice Śmierci - Parafianie i Żołnierze A.K."

Zasłużona to postać skoro w zaledwie rok po śmierci społeczeństwo Muszyny oraz Kombatanci Armii Krajowej fundują tak okazałą tablicę pamiątkową dla uczczenia Jego pamięci.

Warto więc przypomnieć Jego sylwetkę tym, którzy go znali oraz ukazać młodym i tym, którzy go nie znali, albo słyszeli o nim w zupełnie innym świetle, jakie tworzyła Służba Bezpieczeństwa i pracownicy aparatu partyjnego PRL. Zwłaszcza w okresie 1947 - 1956.

Księdza Eugeniusza Piecha poznałem jesienią 1948 r. w Tymbarku, gdzie pracował jako wikary tej parafii. Wkrótce zaprzyjaźniliśmy się i przyjaźń ta trwała do końca Jego ziemskiej wędrówki. Dzięki tej znajomości miałem możliwość bliżej poznać Jego charakter oraz dowiedziałem się sporo o Jego życiu i poczynaniach. Pragnę więc, chociaż nieudolnie, ukazać Jego sylwetkę. Mam nadzieję, że inni uzupełnią ten opis i ta wspaniała postać ukaże bardziej wyraziście. Mnie zaś chodzi tylko o to, aby ta szlachetna postać nie zatarła się w naszej pamięci.

"Błogosławieniu, którzy w Panu umierają, bo idą wraz z nimi ich czyny" - te słowa to motto pożegnalnej mowy, wygłoszonej przy trumnie śp. księdza Piecha przez opa Józefa Gucę, który żegnał zmarłego w dniu Jego pogrzebu.

I chyba w tych kilku słowach zawarta została cała prawda o życiu i pracy zmarłego. Był to bowiem człowiek przez duże C, który nogami mocno trzymał się ziemi, lecz głową zawsze był w niebie. To On podał mi kiedyś prawdziwy kompas drogi życiowej, mówiąc: "Pamiętaj Staszek,

jeśli chcesz dobrze przejść przez życie to pracuj tak, jak byś miał żyć wiecznie, ale postępuj tak, jakbyś za chwilę miał umrzeć."

Tak też i sam postępował. Dlatego przez wielu był szanowany i doceniany - nawet przez swych wrogów. W towarzystwie był lubiany za swe pogodne usposobienie i radosny uśmiech, jaki zawsze błąkał się na Jego ustach. A przecież życie Jego nie było usłane różami. Owszem, być może różami, lecz nie ich barwnymi, pachnącymi kwiatami, a jedynie ciernistymi pędami z kolcami, które często kaleczyły Jego serce. Nigdy jednak nie narzekał, ani się uskarżał. Nawet w najtrudniejszych chwilach mówił z uśmiechem: "Cóż to jest wobec cierpień Chrystusa? A przecież mamy Go naśladować."

Aby lepiej poznać osobę księdza Piecha i zrozumieć Jego postępowanie w życiu należy zacząć "ab ovo", czyli od lat najmłodszych i środowiska w jakim się wychował.

Ks. Eugeniusz Piech pochodził z Lipnicy Murowanej. Z tej Lipnicy, która znana jest jako ziemia rodząca ludzi świętych, błogosławionych gorących patriotów, a przede wszystkim ludzi o szlachetnych sercach. Lipnica Murowana to przecież ziemia błogosławionego Szymona oraz rodziny słynnych Ledóchowskich, a szczególnie błogosławionej Marii Teresy i Urszuli oraz Włodzimierza - generała oo Jezuitów.

W tej to ziemi i w takiej atmosferze Eugeniusz od lat najmłodszych swego życia starał się naśladować te postacie.

Urodził się dnia 14 listopada 1919 r., jako najmłodszy syn Anny, z domu Żaczek i Jana Piecha. Rodzice Eugeniusza twczyli małżeństwo już z "przeszłością". Matka po raz pierwszy wyszła za mąż za wdowca, Piotra Piekarczyka, z którym miała dwóch synów: Jakuba i Jana. Po dziesięciu latach małżeństwa, w dniu 25 kwietnia 1904 r. zmarł jej mąż. Po kilku latach wyszła za mąż po raz wtóry. Również za wdowca, Jana Piecha, ur. 31 lipca 1859 r.. Jan z pierwszego małżeństwa miał pięciu synów: Jana, Franciszka, Karola, Wojciecha i Stanisława. Tak więc, jak na nowe małżeństwo, państwo Piechowie, w chwili zawarcia tego związku, mieli już siedmioro dzieci. Samych synów. W nowym małżeństwie gromadka ta powiększyła się jeszcze o dwoje, tj. o córkę Ludwikę, ur. 3.08.1914 r. i syna Eugeniusza, ur. 14.11.1919 r.

Eugeniusz urodził się już w wolnej, niepodległej Polsce, jednakże od dzieciństwa nie zaznał prawdziwej radości, gdyż raz po raz spadały na niego - bezpośrednio, czy pośrednio - kłopoty i zmartwienia, które nie pozwoliły na spokojne, radosne życie. Jedyne jaśniejsze promienie, jakie przeświecały przez zasłane czarnymi chmurami jego życie to uzyskiwanie założonych przez niego celów.

W 1921 r., kiedy miał zaledwie dwa lata, umiera mu ojciec. Od tej pory pozostaje pod bezpośrednią opieką matki, która, mając tak sporą gromadkę dzieci, nie może zapewnić małemu Gieniusiowi takiej opieki, jaką pragnęłaby otoczyć. Należy bowiem pamiętać, że dopiero co skończyła się I wojna światowa, która bardzo zubożyła ludność. Samotnej kobiecie, mającej na utrzymaniu dziewięcioro dzieci, trudno było utrzymać się z pracy na roli. By zapewnić im możliwy byt, a przynajmniej jego minimum, poza gospodarstwem rolnym prowadzi handel galanterią i dewocjonaliami. Ze swym straganem wędruje po okolicznych jarmarkach i odpustach.

Taka sytuacja uniemożliwia jej poświęcenie dostatecznej ilości czasu małemu Gieniowi, z którym jest bardzo zżyta. Jednak od najwcześniejszych dni życia kierowała jego myśli i uwagę na sprawy boskie. Zabierała go do kościoła niemal na wszystkie nabożeństwa, w których ona uczestniczyła. Takie wychowanie niewątpliwie miało duży wpływ na późniejsze życie Eugeniusza.

Pani Ludwika Piotrowska - siostra ks. Eugeniusza - w swych wspomnieniach podaje, jako ciekawostkę, epizodzik, kiedy to malutki Gieniek, będąc z matką w kościele (mając może 4 lata), podążył za nią przed ołtarz, gdzie kapłan rozdawał komunię św. Kiedy ksiądz nie podał mu "opłatka", Gieniek z płaczem powrócił, skarżąc się na takie potraktowanie.

Na religijne wychowanie Eugeniusza wpłynęło niewątpliwie i lipnickie środowisko, w jakim się urodził i wychowywał, bo już jako kapłan często je wspominał, szczególnie zaś błogosławionych: Szymona, Marię Teresę i Urszulę. Modląc się często zwracał się do tych lipnickich patronów, wyprasząc potrzebne łaski dla siebie i dla innych. Pamiętał o nich do końca życia, dając temu wyraz, między innymi - ~~xx~~ przyjmując, jako partyzant, pseudonim "Szymon" oraz budując kościół w Muszynie-Folwarku pod wezwaniem Marii Teresy Ledóchowskiej.

W wieku 6 lat Eugeniusz rozpoczął naukę w miejscowej, 4-klasowej szkole podstawowej. Naukę po prostu chłonał. Po ukończeniu tej szkoły, matka Eugeniusza, widząc jego wielkie pragnienie dalszej nauki, oddaje go do gimnazjum w Bochni. I tak, nie mając jeszcze ukończonych 10 lat życia, Gienio znalazł się w gimnazjum.

Życie w Bochni nie było jednak łatwe dla niego. Musiał zamieszkać na stacji wraz z sześciu innymi kolegami, ale już starszymi, którym musiał niejednokrotnie usługiwać oraz znosić ich dokuczanie. Mimo takich warunków na stacji i przy oderwaniu od życia rodzinno-domo-

wego, dzielnie przetrwał pierwszy rok nauki otrzymując promocję do następnej klasy.

Drugi rok pobytu w Bochni był już dla niego przyjemniejszy, gdy zmienił stancję. Zamieszkał tym razem u starszego małżeństwa, emerytowanych nauczycieli, państwa Młynarskich. Pobyt u państwa Młynarskich miał jednakże tą ujemną stronę, że ich domek znajdował się w dość dużym oddaleniu od szkoły. Dopiero na trzecim roku szczęście uśmiechnęło się do Eugeniusza, kiedy to zamieszkał na stacji u trzech samotnych pań, o nazwisku Struziń. Na tej stacji mieszkał już do końca pobytu w gimnazjum.

Za stancję matka musiała płacić miesięcznie 40 zł oraz dostarczać raz w tygodniu odpowiednią ilość chleba i ziemiaków. Był to, jak na owe czasy bardzo duży wydatek i dlatego pani Anna musiała być ciągle w drodze ze swym straganem, by zapewnić utrzymanie swych dzieci i łożyć na naukę Gieniusia. Robiła to z wielkim poświęceniem.

Gimnazjalista Gieniek z utęsknieniem oczekiwał każdego czwartku. W tym dniu bowiem odbywał się w Bochni jarmark, na który zawsze przychodziła jego matka ze swym straganem. Mógł więc w tym dniu zobaczyć ją. Przy każdym spotkaniu otrzymywał od niej bułkę oraz kilka groszy, jako kieszonkowe na różne wydatki.

Raz w miesiącu Gieniek odwiedzał dom rodzinny. Do Lipnicy, oddalonej od Bochni o 16 km musiał jednak chodzić piechotą, gdyż w tym czasie nie było żadnej komunikacji.

Wakacje spędzał zawsze w Lipnicy Murowanej, pomagając w pracach gospodarskich oraz na czytaniu wybranej lektury. Na wyjazdy wypoczynkowe, czy inne formy rekreacji, niestety, brak było funduszy. W domu także nie było odpowiedniego miejsca do wypoczynku. Mieszkanie składało się tylko z jednego pokoju i kuchni. Na szczęście nieopodal mieszkał jego przyrodni brat, Jakub Piekarczyk, który był już na własnym gospodarstwie. W jego ~~domu~~ mieszkaniu był pokój, do którego wchodziło się bezpośrednio z korytarza. Ten właśnie pokój udostępniał Gieniowi na okres wakacji. Tak więc miał "swój" pokój, który służył mu za sypialnię i pokój do nauki. Natomiast cały wolny czas spędzał w domu matki.

Rok 1937. Eugeniusz kończy naukę w gimnazjum i składa egzaminy maturalne, które zalicza z wynikami bardzo dobrymi. Po uzyskaniu matury natychmiast wyrusza do Tarnowa, gdzie w Wyższym Seminarium Duchownym składa podanie z prośbą o przyjęcie w poczet kleryków. Ku radości Eugeniusza podanie zostaje rozpatrzone pozytywnie.

Kończy się okres dzieciństwa-młodzieńczego Jego życia, gdyż nie ukończył jeszcze osiemnastego roku życia, by rozpocząć nowy etap pracy nad sobą, wytyczając konkretny cel - zostać kapłanem.

Okres nauki w Seminarium również nie był łatwym okresem dla Eugeniusza. Nad krajem zbierały się już czarne chmury napięć politycznych, które wkrótce przyniosły wybuch II wojny światowej. We wrześniu 1939 r., kiedy Niemcy rozpoczęli okupować kraj był już na trzecim roku teologii. Pragnął jak najszybciej ukończyć studia, by oddać się pracy duszpasterskiej - ku chwale Boga i dobra bliźnich - jak nieraz wspominał.

Rok 1942 rozpoczął z wielkim entuzjazmem i nadzieją, że za kilka miesięcy otrzyma upragnione święcenia kapłańskie. Gorliwie i z zapałem przygotowywał się na ten dzień. Wreszcie nadszedł - 9 sierpnia 1942 rok. Z rąk biskupa Edwarda Komara otrzymuje upragnione święcenia. Zostaje kapłanem. Jakaż to radość przenika Jego serce. Wkrótce jednakże radość neoprezbitera zostaje przygaszona depeszą, jaką otrzymał od rodziny. W depeszy miast słów gratulacji i życzeń są słowa, które donoszą o śmierci Jego matki. Jego ukochanej i jedynej matki, z którą tak bardzo pragnął podzielić się swą radością z racji zostania kapłanem. Przecież tak bardzo pragnął, by w dniu mszy prymicyjnej udzieliła mu swego matczynego błogosławieństwa. na nową drogę życia. Niestety!

Nieco wcześniej, bo w lipcu tegoż roku, przeżył już jeden dramat - śmierć brata matki, a swojego ojca chrzestnego, z którym był bardzo związany uczuciowo. I jeden i drugi cios przyjął z pokorą, widząc w tym wolę Bożą.

Mszę św. prymicyjną odprawił w swym rodzinnym kościele w Lipnicy Murowanej, a błogosławieństwa - miast matki - udzieliła mu babka, Maria Żaczek, matka Jego matki.

Prymicje miały charakter bardzo skromny i smutny, jako że niedawna strata dwu, tak bliskich osób, nie dała o sobie zapomnieć. Ponadto był to już trzeci rok okupacji. Niemcy zaś na każdym kroku starali się dać odczuć, że to oni są tutaj panami.

Tak więc Eugeniusz został kapłanem. Właściwie, zgodnie z wymogami kodeksu seminaryjnego, winien jeszcze rok studiować, jednakże w uznaniu Jego wiedzy i pilności biskup przyspieszył święcenia. Zwłaszcza, że brakowało kapłanów, których spora liczba zginęła z rąk okupanta lub została osadzona w obozach i więzieniach.

Już od pierwszych dni swej kapłańskiej pracy, ksiądz Eugeniusz, dał się poznać jako gorliwy kapłan, pełen poświęcenia dla bliźnich. Pracę wikariusza rozpoczął najpierw w Okocimiu, skąd po dwu miesiącach został przeniesiony do miejscowości Zabawa, a wkrótce znów do miejscowości Pleśna. 12 kwietnia 1943 r. został wikariuszem w Zagórzycach, gdzie pracował do roku 1947, pełniąc obowiązki duszpasterskie również w Nockowej.

W Zagórzycach dał się poznać nie tylko jako prawdziwy duszpasterz, który "życie swoje odda za owce swoje", ale również jako prawdziwy Polak - patriota. Tutaj rozpoczyna się Jego nowy etap życia - etap bardzo ciężki, pełen szykan ze strony władz okupacyjnych i stałej groźby skazania na obóz, czy utratę życia.

Okres okupacji dla księdza Eugeniusza składał się z dwóch etapów. Pierwszy - to lata nauki w seminarium, które mimo przeróżnych niedogodności i stałego strachu przeszły jeszcze jakoś szczęśliwie. Znacznie cięższy był etap drugi, kiedy był już kapłanem pracującym wśród powierzonych mu parafian.

Po raz pierwszy społeczeństwo Zagórzyc poznało Jego cywilną odwagę, graniczącą z bohaterstwem, kiedy poszedł do władz okupacyjnych z prośbą o zwolnienie dwu 16-letnich dziewczynek, które zostały zatrzymane do prac na posterunku miejscowej żandarmerii. Wiedział bowiem, że czeka je tam upokorzenie i deprawacja. Nie mogąc uzyskać ich zwolnienia prosił tylko, aby zezwolili im pójść do kościoła na nabożeństwo. Na tę prośbę komendant żandarmerii wyraził zgodę, ale pod warunkiem, że za ręczy za nie swą głową, wypełniając specjalne pisemne zobowiązanie. Uczynił to chętnie, wiedząc doskonale, że wyjście dziewcząt do kościoła to tylko pretekst do ucieczki. Kiedy dziewczęta nie wróciły w określonym czasie patrol żandarmerii przybył po Niego na plebanie. Ostrzeżony o nadchodzących żandarmach "udał się do lasu na grzyby". Po kilku godzinach wrócił na plebanie, a następnie udał się na posterunek, gdzie zameldował się u komendanta. Jak go przyjął, co przeżył w tym czasie i co wycierpiał, to wiedział jedynie On sam. Nikomu bowiem nie poskarżył się ani słowem. Dziękował jedynie Bogu za umożliwienie ucieczki dziewcząt oraz za ocalenie własnego życia.

W tym też czasie związał się z partyzantami Armii Krajowej. Złożywszy przysięgę przyjął pseudonim "Szymon". na cześć lipnickiego patrona. Przydzielony został do Placówki Sędziszów II, pełniąc w niej funkcję kapelana do końca okupacji.

Aby nie być gołosłownym podaję fragmenty z książki Antoniego Stańko pt. "Gdzie Karpat progi" - Armia Krajowa w powiecie dębickim (wydanie II. Inst. Wyd. Pax, W-wa 1990W I wydaniu ~~ix~~ brak poniższych fragmentów):

Str. 66 - "Placówka Sędziszów II ("Strzała", "Gracaja", "73")

Komendant placówki: 1943-1944 ppor. rez. p. "Lucjan" (Ludwik Kubik)

Zastępca komendanta placówki: 1943-1944, plut. pchr. "Jóźwicz" (Józef Dro:

Adiutant: 1943-1944, kpr. pchr. "Wolan" (Karol Kubik)

Kapelan: ks. "Szymon" (Eugeniusz Piech)

Poczet komendanta Placówki, stan 38 ludzi."

Str. 138: ... "Ks. Eugeniusz Piech ps. "Szymon", wikariusz parafii Zagórzycy był kapelanem Placówki Sędziszów "Strzała". Należał do tych, którzy uratowali sztandar Inspektoratu z pożogi wojennej."

Uratowanie sztandaru i jego przechowywanie miało olbrzymi wpływ na późniejsze życie księdza Piecha, przyczyniając się do wielu kłopotów i zmartwień.

A oto co na ten temat pisze A. Stańko, w w/w książce, na str. 24-ej: "Z Filzna sztandar powędrował do Sędziszowa, gdzie brał udział w walkach w czasie akcji "Burza" w I zgrupowaniu por. "Sępa" (Mieczysława Stachowskiego). Po rozwiązaniu zgrupowania, jeszcze w warunkach bojowych, płat sztandaru oddano na przechowanie ks. wikariuszowi E. Piechowi z Zagórzyc, natomiast drzewce przechował ppor. "Lucjan" (Ludwik Kubik). Odtąd wszelki ślad po nim zaginął. Dopiero w sierpniu 1987 r. został odnaleziony, przy wydatnej pomocy kurii biskupiej w Tarnowie. Po odnowieniu, sztandar został poświęcony przez ks. bpa Józefa Gucewę podczas święta pułkowego 5 psk AK w dniu 19 czerwca 1988 r. w Dębicy."

Przebieg tej uroczystości opisany został w "Currendzie Nr 1-3/89, na stronach 18 - 24. Oto najistotniejsze fragmenty tego opisu:

"1. Dnia 19 czerwca 1988 r. o godz. 11⁰⁰ odbyła się w kościele św. Jadwigi w Dębicy podniosła uroczystość religijno-patriotyczna, której głównym akcentem było ponowne poświęcenie ujawnionego po 44 latach ukrycia Bojowego Sztandaru Z.W.Z.A.K. Inspektoratu Rzeszowskiego. Uroczystości tej przewodniczył Ks. Biskup Józef Guca...

2.... Rzeszowski Inspektorat Armii Krajowej kryptonim "Rtęć" obejmował 3 obwody: rzeszowski (krypt. "Róża"), dębicki (krypt. "Deser") i kolbuszowski (krypt. "Kefir"). Żeby w poszczególnych obwodach budzić za-
pał do walki, bojową gotowość i jak najlepsze przygotowanie do wykonywania różnych akcji dywersyjnych i zbrojnych dowództwo Inspektoratu urządzało konkursy na najlepiej przygotowany obwód. Nagrodą za za-

jęcie I miejsca był Sztandar, który miał charakter przechodni. I właśnie obwód dębicki zajął I miejsce w konkursie na najwyższe wyszkolenie wojskowe oraz najlepsze przygotowanie bojowe do największej akcji zbrojnej Armii Krajowej krypt. "Burza". Obwód dębicki powołał wtedy pod broń aż 1258 ludzi, odtwarzając przedwojenny stan 5 psk, który przyjął ~~wsk~~ wtedy nazwę 5 psk Armii Krajowej. W związku z tym 1 stycznia 1944 r. Sztandar Bojowy AK Inspektoratu Rzeszowskiego został uroczysto przekazany przez Inspektora majora Łukasza Ciepłińskiego pd. "Pług" dowódcy obwodu dębickiego AK, kapitanowi Adamowi Lazarowiczowi, ps. "Klamra"... I tak sztandar pozostał w obwodzie dębickim już do zakończenia wojny, towarzysząc żołnierzom AK tego obwodu w licznych bojach z wrogiem, a szczególnie w sierpniu 1944 r. podczas akcji "Burza". W tym czasie 5 psk AK odznaczył się niezwykłym bohaterstwem i bojowością, zwłaszcza kiedy się znalazł w kotle na zapleczu niemieckiego frontu w lasach Barciejowej na tzw. Kałużówce. Poległo wtedy 110 żołnierzy AK, 79 zostało rannych, a 33 dostało się do niewoli, z czego połowa już nie wróciła do domów. W tej samej bitwie Niemcy stracili 218 zabitych, ponad 100 rannych i 46 wziętych do niewoli.

Jak widać sztandar dostał się w godne ręce. Po zakończeniu działań wojennych w rejonie Dębicy, w dramatycznych okolicznościach Sztandar został ukryty przez kapelana AK Placówki Sędziszów II, Ks, Eugeniusza Piecha, ps. "Szymon", ówczesnego wikariusza w Zagórzycach i dopiero po jego śmierci został ujawniony i w dniu 24 sierpnia 1987 r. protokółarnie przekazany przez Ks. Arcbpa Jerzego Ablewicza kościołowi św. Tadeusza w Dębicy, jako kościołowi garnizonowemu 5 psk AK na ręce proboszcza Ks. Stanisława Fiołka. Świadkiem przekazania Sztandaru był ks. kanonik Tadeusz Boryczko, proboszcz parafii Gumniska, gdzie mieściła się siedziba dowództwa AK Obwodu Dębickiego... Dnia 5 i 6 sierpnia sztandar znalazł się w bezpośrednim zasięgu walki między niemiecką jednostką pancerną, a wysuniętym ku przodowi oddziałem radzieckim. W walce, jaka wywiązała się, dom rodzinny Kubików, w którym przechowywano sztandar stanął w płomieniach, a jego właściciel zginął od niemieckich granatów. W ogniu walki sztandar został jednakże w porę ewakuowany przez wycofujący się oddział por. "Lucjana". Od tej chwili - jak się później okazało - sztandar dzielił losy otoczonego przez Niemców oddziału, w którym znajdowali się również odcięci od swojego dowództwa żołnierze radzieccy. Wśród dramatycznych wprost okoliczności i krwawych, trwających ponad miesiąc walk, sztandar towarzyszył walczącym oddziałom por. "Lucjana" z przeważającymi siłami nieprzyjaciela. Prze-

trwał w walkach do 27 sierpnia 1944 r., w którym to dniu w tajemniczych okolicznościach sztandar zaginął. Właściwie nie zginął lecz został ukryty przez ks. Eugeniusza Piecha i przechowywany w ścisłej tajemnicy aż do dnia śmierci, a następnie odkryty i ujawniony w znanych nam okolicznościach."

Tak oto sztandar powrócił do macierzystej jednostki, zaś ksiądz Eugeniusz Piech, być może nieco przedwcześnie, przeszedł na "Wieczną wartę", po latach wiernej służby Bogu i Ojczyźnie.

Do przyspieszenia momentu śmierci niewątpliwie w dużej mierze przyczynił się ów sztandar, który przez 44 lata tak troskliwie przechowywał. Przechowywał go w tajemnicy, gdyż taką był związany przez złożenie przysięgi swemu dowódcy, który wydał rozkaz nieujawniania sztandaru bez wyraźnej jego zgody i polecenia. I przysiędze tej ks. Piech pozostał wierny aż do śmierci - mimo, iż wydania sztandaru, po wyzwoleniu, domagały się władze Urzędu Bezpieczeństwa, a zalecały władze kościelne.

Sztandar ten, jak już wyżej podano, został przekazany księdzu Piechowi, jako kapelanowi Placówki Sędziszów II, w dniu 27 sierpnia 1944 r. przez komendanta tej Placówki, Ludwika Kubika (ps. "Lucjan"), który pod przysięgą zakazał ujawniania miejsca ukrycia sztandaru do czasu zwolnienia go od przysięgi przez siebie, jako dowódcy. Po zakończeniu działań wojennych ks. Piech kilkakrotnie zwracał się do por. Ludwika Kubika z prośbą o zwolnienie go z przysięgi. Ten jednakże nie wyraził zgody, uważając że dostanie się on w ręce komunistycznych władz, które pohańbia go. Tak więc ksiądz Piech nadal ukrywał sztandar, zgodnie ze złożoną przysięgą, doznając na skutek tego wiele kłopotów i upokorzeń. Władze PRL wiedziały bowiem o przechowywaniu sztandaru przez ks. Piecha i za wszelką cenę pragnęły ten sztandar odebrać. Przesłuchiwano więc wielokrotnie księdza Piecha w tej sprawie na posterunkach Milicji Obywatelskiej, w miejscowościach, gdzie aktualnie pracował oraz w "gabinetach" Urzędu Bezpieczeństwa (Służby Bezpieczeństwa).

Będąc w Tymbarku (prawdopodobnie na początku 1948 r.) został wezwany do Komendy M.O. w Nowym Sączu, gdzie w sprawie sztandaru przesłuchiwany był przez 36 godzin. Zmieniali się tylko oficerowie śledczy, zmieniano metody śledztwa - od proszenia, perwersji, do gróźb i (prawdopodobnie) rękoczynów, lecz nie zmoгли wiernego przysiędze kapelana AK

Powyżej zaznaczono "prawdopodobnie", gdyż ks. Piech tego nie potwierdził. Pytania na ten temat kwitował krótko, z uśmiechem na ustach: "To też tajemnica."

Przez władze polityczne inwigilowany był chyba do samej śmierci. Na skutek presji władz politycznych (prawdopodobnie) przeniesiony został z Tymbarku do Kamienicy, na administratora tamtejszej parafii, w miejsce aresztowanego proboszcza, ks. Jana Lecha, osadzonego o zamordowanie kobiety i zakopanie jej ciała pod podłogą w jednym z plebańskich pomieszczeń. Fakt zamordowania i pochowania kobiety okazał się później sprawą prowokacji Służby Bezpieczeństwa, która w ten sposób wywarła zemstę na księdzu Lechu za jego niesubordynację wobec władz politycznych PRL. Zaś objęcie parafii w Kamienicy przez księdza Piecha miało na celu ułatwienie władzom bezpieczeństwa jego inwigilację, upozorowaną "dobrem" śledztwa związanego z (rzekomym) morderstwem dokonany przez księdza Lecha. Ponieważ menewr ten nie przyniósł oczekiwanego rezultatu, ks. Piech przeniesiony został na proboszcza do Muszyny, z nadzieją, że nie da sobie rady z mieszkającymi tam Łemkami i oni przyczynią się do jego wykończenia.

O tym zamierzeniu Służby Bezpieczeństwa opowiedział mi przy okazji przeniesienia go, zaznaczając ze śmiechem, że jest już do tego przyzwyczajony. Łemków zaś nie obawia się, gdyż zapewne znajdzie z nimi wspólny język.

Jego słowa szybko się potwierdziły, o czym mogłem przekonać się osobiście w czasie odwiedzin ks. Piecha w Muszynie. Nie tylko nikt mu nie zaszkodził (poza drobnymi przypadkami, a i to zapewne przez współpracowników służby bezpieczeństwa), lecz wręcz przeciwnie - szybko pozyskał życzliwość tamtejszego społeczeństwa. Podziwiano jego pracowitość, prawość, a przede wszystkim życzliwość, jaką wszystkich darzył - bez względu na wiek, płeć, pochodzenie, wyznanie, czy poglądy polityczne.

Na pytania rodziny i przyjaciół, dlaczego nie zakończy sprawy sztandaru, choćby tylko dla świętego spokoju, zawsze odpowiadał z uśmiechem: "Przysięga to rzecz święta, której nie wolno złamać nawet pod groźbą utraty życia. Mnie narazie to nie grozi. Co zaś usłyszałem i jeszcze usłyszę od Esbeków to moje. Nie warto o tym wspominać."

Jego siostra, Ludwika, z którą był bardzo zżyty i o wszystkich sprawach szczerze z nią rozmawiał, na opisie dotyczącym uroczystości ponownego poświęcenia sztandaru, w dniu 19 czerwca 1988 r., własnoręcznie zrobiła notatkę, której treść tak wiele mówi: "Przez 44 lata przechowywać i strzec jak oka w głowie (sztandaru) przed komunistami, za to zostać złodziejem, to bardzo przykre. Nie warto być uczciwym i wiernym przysiędze."

Gorzkie to słowa, jednakże wiele mówiące o tym co przeżył i wycierpiał dla tak "błahaej", dla wielu osób, sprawy, jakim był ukrywany sztandar. Czy było warto? - oto pytanie, jakie stawiało sobie wielu, nawet z kręgu osób duchownych, bliskich i przełożonych.

Zapewne warto - gdyż nie chodziło tu jedynie o sztandar, jako kawałek materiału, czy nawet symbolu, lecz przede wszystkim o zasadę dochowania przysięgi, jaką złożył na ręce swego dowódcy, a który z tej przysięgi nie uwolnił go. I dochowanie tej przysięgi jest właśnie wzorem godnym naśladowania.

Zakończmy jednak sprawę sztandaru, a wróćmy do Jego danych biograficznych, by na ich kanwie zobaczyć pełny, wyrazisty obraz człowieka i kapłana.

Z dniem 21 kwietnia 1947 r. ksiądz Piech zostaje przeniesiony, jako wikary do Tymbarku, gdzie pracował do 1 sierpnia 1952 r.. Od 19 marca 1952 r., tj. od dnia śmierci tybarskiego proboszcza, ks. Andrzeja Bogacza, do dnia odejścia do Kamienicy, pełnił funkcję administratora parafii tybarskiej.

Od pierwszych dni swego pobytu w Tymbarku dał się poznać tutejszemu społeczeństwu nie tylko jako duszpasterz, ale także jako doskonały pedagog i wychowawca oraz jako animator i organizator życia kulturalno-oświatowego, tak w kręgach młodzieżowych, jak i wśród starszych oraz dzieci.

Brał żywy udział w organizowaniu teatru amatorskiego, czytelnictwa (służąc chętnie i własną biblioteczką, jak na owe czasy dość zasobną). Zorganizował Bibliotekę Parafialną. Szczególną uwagę poświęcał jednak i wiele trudu włożył w zorganizowanie i prowadzenie Kół Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży - męskiej i żeńskiej. Chętnie organizował i osobiście prowadził wycieczki turystyczno-krajoznawcze, który wykorzystywał do przeprowadzania pogadarek wychowawczych przy ognisku.

Ognisko to bardzo ważny element w wychowaniu, zwłaszcza młodych. Tu można doskonale - przy śpiewie, gawędach i grach terenowych - kształtować młode charaktery. A wszystko na luzie, w radosnym nastroju. Wśród śmiechu i żartów. Zamiast zwracać któremuś z uczestników wycieczki uwagę, ks. Piech robił to przy pomocy piosenki. Np. gdy w marszu ktoś zbyt szybko wyprzedzał pozostałych, ksiądz śpiewał: "Jom ci powiedział, jom ci powiedział, nie wyprzedzaj!". Podobnie śpiewał przy podobnych sytuacjach, zmieniając tylko jedno słowo - nie zostawaj, nie chowaj się itp. W ten sposób, bardzo taktownie i delikatnie zwracał uwagę na niewłaściwe zachowanie się. Wpływało to dodatnio na całą grupę, która sły-

sząc taką przyśpiwkę starała się dostosować do wymogów "swojego księdza", jak go przeważnie nazywano. Nie chciano również narazić się na śmiechy pozostałych uczestników wycieczki.

Będąc w Tymbarku, w ramach swych obowiązków nauczycielskich, sprawował funkcję prefekta w nowo otwartym Spółdzielczym (później Państwowym) Liceum Przetwórstwa i Handlu Ogrodniczego II stopnia. Do Liceum uczęszczała młodzież przeważnie starsza, po tzw. małej maturze. Część chłopców było już po odbyciu służby wojskowej, a więc dorośli. Wydawać by się mogło, że z taką młodzieżą trudno sobie poradzić, zwłaszcza jeśli uświadomimy sobie, że w tym okresie wszelkimi możliwymi sposobami starano się ośmieszyć kościół i praktyki religijne. W modzie była dialektyka marksistowska, a Manifest Komunistyczny miał zastąpić katechizm. Ksiądz Piech potrafił jednak przyciągnąć młodzież do siebie. Chętnie z nią dyskutował na tematy filozoficzne i ówczesne poglądy materialistyczne. Co więcej, zachęcał młodzież do czytania lektur marksistowsko-leninowskich, których sporą kolekcję posiadał w swej bibliotece. Często mawiał: Chcesz pokonać przeciwnika to najpierw dobrze go poznaj, a wtedy łatwiej spostrzeżesz jego słabe punkty." Był więc otaczany przez tę młodzież i bardzo szanowany. Świadczyć o tym może choćby następujący epizodzik.

Po zakończeniu egzaminów maturalnych w 1952 r. (pierwszy maturalny egzamin w w/w Liceum) młodzież urządziła tzw. komers, na który zaprosiła całe grono pedagogiczne, przedstawiciele miejscowych władz administracyjno-politycznych. Na przyjęciu znalazł się także przedstawiciel Ministerstwa Przemysłu Rolnego i Skupu, jako resortu prowadzącego szkołę. Przedstawiciel ten, oczywiście zwracał uwagę przede wszystkim na nowoczesne metody wychowania młodzieży. Kiedy już uczestnicy biesiady zasiedli przy stołach, by rozpocząć pożegnalną kolację - już absolwentów Liceum - zauważono brak księdza Piecha. Mimo uwag dyrektora i wychowawców, by rozpocząć imprezę, młodzież zdecydowanie oświadczyła, że należy jeszcze poczekać. Kiedy w kilka minut później wszedł zdyszany ks. Piech i przeprosiwszy za spóźnienie siadł na końcu jednego ze stołów, podeszła do niego delegacja młodzieży i zaprosiła do stołu przeznaczanego dla wyróżnionych osób. Stało tam już wcześniej przygotowane krzesło dla niego. Zdziwiło to przedstawiciela Ministerstwa. Zainteresował się bliżej osobą księdza, zaś później rozmawiał z nim osobiście. Na ~~koncu~~ końcu rozmowy wręczył mu wizytówkę ze słowami: Jeśli kiedyś będzie ksiądz w jakiejś potrzebie proszę się zwrócić

do mnie. Tu jest mój adres służbowy i prywatny."

Nawet po latach Jego byli uczniowie nie zapominali o nim. Nawet ci, którzy wybrali drogę życia w nowej ideologii. Oto następny przykład: W roku 1975 Zespół Szkół Przemysłu Spożywczego w Tymbarku (Powstały na bazie dawnego Liceum Przetwórstwa i Handlu Ogrodniczego) organizował uroczystość przekazania nowych obiektów szkolnych i internatu oraz nadania szkole imienia Komisji Edukacji Narodowej. Na uroczystość tą zaproszono licznych gości, a wśród nich przedstawiciela KC PZPR z Warszawy. Był nim były uczeń tej szkoły - absolwent z 1950 r. Kiedy przyjechał, jego pierwsze słowa były pytaniem: "Czy zaprosiliście także księdza Piecha?" - Kiedy zaś usłyszał przeczącą odpowiedź, powiedział dość ostrym głosem: "To zrobiliście błąd, duży błąd, gdyż on powinien tu być."

Inny przykład metody wychowawczej ks. Piecha. - Pewnej niedzieli, w czasie mszy św. ksiądz Piech idąc przez kościół, zbierając datki na tacę, w pewnym momencie zauważył pod chórem, obok filaru, stojącego studenta, który dość zabawnie kołysał się na nogach. Wracając do domu po całonocnej zabawie. Chciał jednakże spełnić swój religijny obowiązek w uczestniczeniu we mszy św. Zmęczenie, w połączeniu z wypitym alkoholem nie pozwoliły jednakże na poprawne uczestniczenie w najświętszej ofierze. Co gorsze, jego zachowanie rozpraszało uwagę grupy osób stojącej nieopodal. Widząc to ks. Piech podszedł spokojnie do niego. Podał mu klucz od swego mieszkania i szeptem powiedział: "Idź do mego mieszkania i zaczekaj. Ja za chwilę tam przyjdę. Tu zaś nie rób wstydu sobie i uciechy innym." Zaczerwieniony ze wstydu młodzian opuścił kościół i zgodnie z poleceniem udał się do mieszkania ks. Piecha, gdzie za chwilę przyszedł również i on sam. "Słuchaj, Loizek - powiedział ksiądz - w takim stanie nie spełnisz należycie swego obowiązku. Robisz zaś ze siebie tylko pośmiewisko i rozpraszasz uwagę innych. Masz tu kieliszek wódki. To cię na chwilę otrzeźwi i wzmocni, dojdiesz więc do domu (około 3 km.). Wyśpij się i postaraj się przyjść na ostatnie nabożeństwo. A ponadto zapraszam cię kiedyś, gdy będziesz miał nieco czasu na pogawędkę. A teraz - ty, do domu, a ja wracam do kościoła". Klepnął go przyjacielsko po ramieniu i wrócił do kościoła. Epizod ten opowiadał mi sam delikwent.

Ks. Piech nigdy nie osmieszał pijanych i innym na to nie pozwalał. "Nie wolno drwić z pijanego człowieka. To są biedacy, chorzy, którym należy współczuć i pomagać" - mawiał. Natomiast chętnie rozmawiał z alkoholikami, kiedy byli w stanie trzeźwym. Tłumaczył im szkodliwość nad -

używania alkoholu dla zdrowia oraz przedstawiał inne niebezpieczeństwa, jakie mogą wyniknąć na skutek zamroczenia alkoholowego, a także i to, że stają pośmiewiskiem innych.

Jako ksiądz dawał przykład żarliwej modlitwy. Nie pochwalał jednak dewocji. Starał się, by zbyt długim kazaniem, czy dodatkowymi modlitwami nie powodować przemęczenia wiernych, a przez to zniechęcić ich do udziału w nabożeństwach.

Pewnego razu, już jako proboszcz muszyński, został zaproszony do Tymbarku, by wygłosił kazanie. W uroczystości tej brał także udział jeden z biskupów, znany ze swych długich przemówień. Ks. Piech kazanie miał wygłosić w czasie sumy, natomiast na wcześniejszej mszy św. odbywała się uroczystość bierzmowania. Sama msza św. trwała blisko dwie godziny. Tłok był ogromny i trudno było wystać. Nogi po prostu odmawiały posłuszeństwa. Z powodu duchoty ludzie ziewali i zasypiali. Wiele osób opuszczało kościół, by na świeżym powietrzu otrzeźwić się i wzmocnić. Również i ja nie wytrzymałem do końca nabożeństwa. Po "Baranku Boży" wyszedłem z kościoła. Kiedy w kilka godzin później ksiądz Piech odwiedził mnie w domu, powiedziałem na wstępie: "Muszę się zaraz wyspowiadać, że nie wytrzymałem do końca mszy św. i przed jej zakończeniem opuściłem kościół." - Ksiądz Piech z uśmiechem zapytał: "A długo wytrwałeś?" Wyszedłem po "Baranku Boży" - odpowiedziałem. "I pewnie stałeś?" - pytał dalej ksiądz. "A gdzie miałem usiąść, skoro było tak ciasno, że trudno było nawet nogą ruszyć." - "To i tak długo wytrzymałeś. Ja siedziałem, ale i tak czułem pośladki i ledwie wytrzymałem do końca" - powiedział ksiądz Piech. - "Gdybym tak długo celebrował nabożeństwo w Muszynie, to do końca mszy miałbym pusty kościół. Organizm człowieka też ma swoje wymagania i nie należy go przenęczać, gdyż wtedy zamiast ^{modlitwy u eps. ks. Piecha:} człowiek myśli tylko, kiedy się to skończy, lub o innych sprawach. Wtedy zaś jego pobyt w kościele nie przynosi już pożytku - ani chwale Bożej, ani jemu."

Po prostu znał i rozumiał możliwości ludzkie i nigdy nie żądał, by człowiek ich nadużywał.

Każdego spotkanego darzył uśmiechem i dobrym słowem. Nawet w najbardziej ciężkich momentach życia ludzkiego zawsze potrafił znaleźć słowo pocieszenia. Ze śmiechem też mówił: "Człowiek winien być zawsze zadowolony. Wyobraź sobie, że złamałeś rękę. Po co od razu płakać i narzekać? Pomyśl raczej, jakie to szczęście - mogłeś bowiem złamać obie. A więc miałeś szczęście, że to tylko jedna ręka. Jeśli złamiesz obie, pomyśl, jakie to szczęście - mogłeś bowiem połamać i nogi. Jeśli

połamiesz ręce i nogi, dziękuj Bogu, że nie złamałeś kręgosłupa. A jeśli złamiesz i kręgosłup - dziękuj, że w ogóle jeszcze żyjesz. Kiedy zaś stracisz życie, to już nie musisz martwić się o przyszłość na ziemi."

Jak widać z powyższego, ks. Piech starał się zawsze optymistycznie nastawiać ludzi do życia i to najczęściej w sposób humorystyczny. W wielu przypadkach dawało to efekt pozytywny, zwłaszcza u ludzi starszych i chorych, którzy odtąd łatwiej znosili różne dolegliwości. U młodych zaś wyrabiało hart ducha.

Był bardzo wrażliwy na ubóstwo materialne, być może dlatego, że odczuł to sam na sobie, zwłaszcza w dzieciństwie i wieku młodości - czym. W miarę swych możliwości starał się więc pomagać ubogim - w postaci gotowych produktów żywnościowych, czy innych rzeczy (np. ubrania), względnie w postaci pewnej kwoty pieniężnej. Czynił to jednak z wielkim taktem i dużą delikatnością, by przypadkiem kogoś nie urazić. Z własnego doświadczenia wiedział bowiem, jak okazywana pomoc może być upokarzająca. Dlatego też używał różnych podstępów - najczęściej przypadkowe odwiedziny "po drodze" i przekazanie czegoś, co otrzymał od innych, a jemu to niepotrzebne - zaś tu może się przydać (zwłaszcza jeżeli w rodzinie były dzieci). Niekiedy coś ofiarował dla poratowania zdrowia (np. miód), albo jako dary mikołajowskie itp. Jeżeli zaś nie było takich możliwości, korzystał z pomocy innych osób. Niejednokrotnie sam byłem takim pośrednikiem, lub "niewidzialną ręką", przekazując dar pośrednio, nie ujawniając ofiarodawcy.

Kochał i był kochany przez dzieci, którymi często był otoczony. Chętnie się bawił z nimi, jak najlepszy ojciec, nie dbając o swą suttannę, co nieraz wyominano mu, że tak nie przystoi księdzu.

Dbał też o budownictwo sakralne i wystrój kościoła, czy innych pomieszczeń związanych z życiem religijnym.

Będąc wikarym w Tymbarku, kiedy ówczesny proboszcz, ks. Andrzej Bogacz, wspomniał, że na cmentarzu tymbarskim przydałaby się murowana kaplica z kryptą dla zmarłych księży (przeczuwając zapewne własną bliską śmierć), ks. Piech natychmiast zabrał się do realizacji tego pomysłu. Nawiązał kontakt ze znajomym architektem, iż. Alojzym Podgórnim, który opracował, według założeń ks. Piecha, plan kaplicy w stylu neogotyckim, z kamienia ciosanego.

Budowa tej kaplicy, na podstawie opracowanych planów, zrealizowana została dopiero w latach 1954-1957, kiedy ks. Piech pracował już w Kamienicy i Muszynie.

W Kamienicy ks. Piech, jako administrator tamtejszej parafii, pracował przez 5 lat. Szybko pozyskał sobie tamtejszych parafian i cieszył się ich szacunkiem i zaufaniem. Nie doznał tam jednak odprężenia, jako że dość często miewał "wizyty" pracowników aparatu bezpieczeństwa, którzy pod pozorem wyjaśniania sprawy rzekomego morderstwa, dokonanego przez ks. Lecha, starali się uzyskać ukrywany przez ks. Piecha sztandar AK.

Przy każdej takiej "wizycie", ksiądz Piech, z właściwym sobie uśmiechem, zapraszał ich na herbatkę. W czasie rozmowy ogólnikami odpowiadał na zadawane pytania, sam zaś rozpoczynał dyskusje na tematy marksistowsko-leninowskie, do których "goście" nie mieli odpowiedniego przygotowania. Peszyło ich to, że ksiądz zna się lepiej na ich ideologii, aniżeli oni, którzy ją reprezentują. To też szybko kończyli rozmowy i z nossem "na kwintę" opuszczali gościnne progi plebanii i jej uśmiechniętego gospodarza.

W Kamienicy, poza pracą duszpasterską, prowadził także prace związane z wystrojem kościoła parafialnego, a jednocześnie rozpoczął starania i wykonywał prace wstępne związane z budową kościoła w Szczawie.

Wiadomo jednak, że w latach, kiedy pracował w Kamienicy, władze administracyjne bardzo niechętnie patrzyły i robiły duże trudności na wszystkie poczynania związane z budownictwem sakralnym, zwłaszcza, że starającym się był "trefny" ksiądz Piech. Tak więc budowy w Szczawie nie udało się rozpocząć. Jednakże prace przygotowawcze, ~~xxx~~ jakie poczynił bardzo ułatwiły później ich realizację.

Podobnie było i w Muszynie, do której został, w roku 1956, przeniesiony na stanowisko proboszcza. Tam, o ile mi wiadomo, przeprowadził szereg prac związanych z wystrojem kościoła. Ponadto przeprowadził prace konserwacyjne na zewnątrz oraz kierował pracą związaną z budową murów ogrodzeniowych wokół kościoła i cmentarza. Prowadził też budowę nowej plebanii zaś starą plebanię adoptował na potrzeby katechetyczne. Wyremontował też mocno już zniszczony budynek parafialny. Ukoronowaniem jego prac budowlanych była budowa nowego kościoła, pod wezwaniem Bł. Marii Teresy Ledóchowskiej w Muszynie - Folwarku.

Na temat jego zainteresowania budownictwem sakralnym można by podać znacznie więcej przykładów, jako że na przyszłość planów miał wiele, a wszystkie godne realizacji. Były bowiem rozsądnie i dokładnie przemysłane. Nie pora jednak na ich wyliczanie w trakcie tych wspomnień. Być może ktoś inny z nich skorzystał, lub skorzysta.

Opisując cechy dodatnie - bo ujemnych nie dostrzegłem, ani też o nich nie słyszałem - księdza Piecha, dodać należy szacunek dla stanu duchownego. Wszyscy księża, z którymi rozmawiałem na ten temat, zgodnie oświadczyli, że do wszystkich duchownych odnosił się z jednakowym szacunkiem, bez względu na wiek, czy hierarchię. Zawsze starał się dostrzec w ich życiu i pracy dobro i to dobro eksponował. Niedociągnięcia zaś, czy pewne potknięcia, kładł na karb ludzkiej słabości. Chętnie dzielił się z innymi kapłanami swymi doświadczeniami duszpasterskimi, udzielał rad i pomagał w ich pracy duszpasterskiej, zwłaszcza przez przeprowadzanie rekolekcji, wygłaszania kazań okazjonalnych, a szczególnie w spowiedziach.

Dzięki Jego postawie - człowieka i kapłana - wielu młodych starało się Go naśladować. Wielu też skierowało swe kroki do seminariów duchownych, czy też zastukało do furt klasztornych.

Takim był ksiądz Eugeniusz Piech, do ostatniej godziny swego życia, tj. do dnia 28 stycznia 1987 r., kiedy to prowadząc, w zastępstwie swego wikarego, katechezę, zmarł nagle na zawał serca. Musiał jednak znać tę ostatnią godzinę, gdyż dwie godziny wcześniej był u znajomego kapłana, który udzielił Mu rozgrzeszenia w Sakramencie Pokuty,

Zawał, jaki spowodował zakończenie Jego cnotliwego i pracowitego życia, nie był pierwszym zawałem. Ile ich przeżył - trudno powiedzieć. Ogólnie wiadomo, że kilka. Niektórzy twierdzą, że sześć lub siedem. Nie wiem. Wiem jednakże, że ~~xxxx~~ cztery napewno. Po trzecim zawałe pojechał do Nałęczowa, na badania, gdzie leczył się od szeregu lat. W kilka dni po powrocie odwiedził mnie w Tymbarku. Nie przypuszczałem wtedy, że już się więcej nie spotkamy. Przyjechał taksówką. Po przywitaniu się oświadczył, że długo nie zabawi, gdyż "licznik taksówki bije". Gdy wyraziłem żal, że znów na tak krótko wpadł, odpowiedział ze śmiechem: - "No, ale taki nie będziesz i tą kawę postawisz". No i - posiedział dobre dwie godziny.

W trakcie pogawędki opowiedział mi o swoim pobycie w Nałęczowie: "Kiedy wszedłem do gabinetu pani doktor, ta, po zbadaniu mnie, dość ostrym głosem oświadczyła, że stan jest poważny. Jeśli chcę żyć to natychmiast muszę zrezygnować z wszystkich dotychczasowych zajęć, zwłaszcza z prowadzenia parafii, katechizacji itp., itd. Należy zamknąć się w pokoju i wypoczywać, bez narażania się nawet na najmniejsze zdenerwowanie, czy podniecenie. - To mnie nieco zdenerwowało. Odpowiedziałem więc: - "Pani doktor, od głoszenia kazań to jestem ja. Tu

zaś przyjechałem leczyć się, a nie wysłuchiwać pouczeń". Z kolei zdenerwowała się pani doktor i oświadczyła, że przy takim moim nastawieniu to ona nie bierze odpowiedzialności za skutki leczenia, a w ogóle to przestaje mnie leczyć."

Opuściłem gabinet i przez kilka godzin wałęsałem się po Nałęczowie rozmyślając. Co lepiej? - zamknąć się w swoim pokoju i być ciężarem dla innych, którzy muszą się mną opiekować - być może dla kilku tygodni, czy miesięcy biernego życia - o ile ~~xx~~ w ogóle może to mieć wpływ na długość życia - czy też nadal żyć, jak dotychczas i normalnie pracować, a zakończyć życie kiedy Bóg zechce? W końcu postanowiłem. Wróciłem do Muszyny. Rozpocząłem rekolekcje w Piwnicznej, no a dzisiaj przyjechałem do ciebie." - powiedział śmiejąc się serdecznie.

Pogawędziliśmy jeszcze nieco, przeplatając rozmowę - jak zwykle - żartami, no i pożegnaliśmy się - nie zdając sobie sprawy, że było to nasze ostatnie spotkanie.

Śmierć Jego, dla wielu z nas znających Go, była zaskoczeniem, mimo iż można się było jej spodziewać każdego dnia, każdej godziny. A może właśnie dlatego - zawsze bowiem wychodził zwycięsko, nawet z najgorszych sytuacji?

Uroczystości pogrzebowe z udziałem J.E.bpa Józefa Gucwy odbyły się w dniu 31 stycznia 1987 r. na cmentarzu parafialnym w Muszynie.

Na pogrzebie, niestety, nie byłem, gdyż choroba nie pozwoliła na wyjazd w czasie tak ostrej zimy, jaka w tym okresie panowała.

Mimo iż odszedł od nas, Jego postać, z tym charakterystycznym uśmiechem, jaki zawsze błąkał się na Jego ustach, pozostała nadal wyraźna w mej, a i zapewne i u wielu innych, pamięci. I tak już chyba pozostanie do końca dni naszego życia.

Biografie do

Wspomnienia o spiskach praktyce
Eugenium Piescha

1) Listy śród Lidywici

2) Antoni Stanke - "Ciebie Naupt propi"
Alunia Kępcze w powiecie opełkiu - wyzd II -
Just. Wydz. Spz, N-wie 1990.

3) Currenole W 1-3/89 (W. 1992)

4) Dokumentacja z Archiwum Parafialnego
w Zamboku

~~Antoni~~ ^{29.12.19} spiska + Eugenium Piescha (1919-1992)
w Katedrze w Katowicach (9)